Lester del Rey

Skazany na Ziemię

(Earthbound)

Galaxy, August 1963
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the short story "Earthbound" by Lester del Rey, first publication in Galaxy, August 1963. published by Project Gutenberg, January 8, 2016 [EBook #50876]
According to the included copyright notice:
" This etext was produced from Galaxy Magazine August 1963. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.."
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Dopiero kilka godzin po ostatniej oficjalnej ceremonii Clifton zdołał się wymknąć tłumowi natarczywej czeredy planetarnej, z tą całą ich bezmyślną paplaniną, córkami do wzięcia i nieustannym idiotycznym samozadowoleniem. Z niechęcią wysupłali gotówkę na sprowadzenie go tutaj, i teraz chcieli by ich pieniądze zwróciły im się w jak największym stopniu.

Drzwi prowadziły tylko na niewielki taras, lecz wydawało się, że jest on zupełnie pusty. Wciągnął nocne powietrze głęboko w płuca, a jego wzrok nieświadomie powędrował ku gwiazdom.

Powrót na Ziemię był pomyłką, ale potrzebował pieniędzy. Space Products Unlimited zażyczyło sobie prawdziwego bohatera z dalekiego kosmosu, aby uświetnić obchody stulecia swojego istnienia. Właśnie ukończył regularną trasę na Rigel, a więc był do wzięcia. Do diabła z nimi i z ich głupimi mowami oraz nagrodami – i do diabła z Ziemią! Co znaczyła jedna planeta, jeśli pośród gwiazd były ich miliardy?

Z przeciwnej strony stojącej na tarasie doniczkowej rośliny, doleciało przyciszone westchnienie.

Clifton wykręcił szybko szyję, ale po chwili odprężył się widząc, że tamten człowiek nie patrzy na niego. Jego przysłonięte ciemnymi okularami oczy skierowane były w niebo.

— Aldebaran, Syriusz, Deneb, Alfa Centauri — wyszeptał głos. Był to wysoki głos o dziwnym akcencie, brzmiała w nim jednak jakaś poezja odwiecznej tęsknoty.

Był to niewielki, pomarszczony starzec. Jego ramiona uginały się pod ciężarem wieku. Długa broda i ciemne okulary zakrywały większą część twarzy mężczyzny, nie były jednak w stanie w pełni ukryć głębokich zmarszczek, nawet w niepewnym świetle księżyca.

Clifton poczuł nagle muśnięcie litości i przysunął się bliżej, sam nie do końca wiedząc dlaczego.

— Czy nie widziałem pana wcześniej, na podeście?

— Ma pan dobrą pamięć, panie kapitanie. Zostałem publicznie nagrodzony – za pięćdziesiąt lat wiernej służby, polegającej na robieniu butów do skafandrów kosmicznych. No cóż, zawsze byłem dobrym szewcem i być może moje buty pomogły komuś tam, w górze. — Ręka starca omiotła pełne gwiazd niebo, a następnie ponownie zacisnęła się mocno na balustradzie. — Wręczyli mi złoty zegarek, chociaż czas nic dla mnie nie znaczy. I tani bilet na podróż dookoła świata. Tak jakby było jeszcze jakieś miejsce na tej planecie, które nadal chciałbym zobaczyć. — Roześmiał się ochryple. — Proszę mi wybaczyć, jeśli brzmi to trochę zgorzkniale. Ale, widzi pan, ja nigdy nie byłem poza Ziemią!

Clifton wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

— Ale przecież, wszyscy…

— Wszyscy poza mną — przerwał mu starzec. — Och, próbowałem. Byłem już do cna zmęczony Ziemią, spoglądałem w gwiazdy i marzyłem. Ale przepadłem na wczesnych sztywnych przepisach medycznych. Potem, kiedy sprawy były już łatwiejsze, spróbowałem ponownie. Pierwszy statek uziemiła zaraza. Lot drugiego opóźnił strajk. Potem, kolejny eksplodował na polu startowym i tylko paru z obecnych na pokładzie zostało uratowanych. Wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że oznacza to konieczność oczekiwania tutaj – tutaj, na Ziemi i nigdzie indziej. Tak więc zostałem, i robiłem buty do skafandrów kosmicznych.

Litość i poryw serca wcisnęły Cliftonowi w usta nieoczekiwane słowa:

— Za cztery godziny startuję w lot powrotny na Rigel i mam na *Maryloo* wolną kabinę. Niech pan leci ze mną.

Uchwyt starej dłoni, która spoczęła mu na ramieniu, był dziwnie delikatny.

— Niech pana Bóg błogosławi, panie kapitanie, ale to się nie uda. Mam wyraźne rozkazy, aby pozostać tutaj.

— Nikt nie ma prawa wydać rozkazu, aby człowieka uziemić na zawsze. Poleci pan ze mną, nawet gdybym miał pana siłą zaciągnąć ma statek, panie…

— Ahaswerus.

Starzec zawahał się, jakby oczekiwał, że jego nazwisko coś będzie Cliftonowi mówiło. Potem westchnął i uniósł ciemne okulary.

Clifton wytrzymał spojrzenie swojego rozmówcy tylko przez niecałą sekundę. Potem opuścił wzrok, chociaż wspomnienia tego co zobaczył już się zacierały. Przeskoczył przez balustradę tarasu i zaczął oddalać się od Ahaswerusa, biegnąc w stronę swojego statku i nieskończonych bezmiarów kosmosu.

Za jego plecami, wieczny tułacz stał i czekał.

KONIEC